

Karty z mego życia

(Wspomnienia)

Jan Chłosta

Karty z mego życia

(Wspomnienia)



Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne
2016

Za zgodą Kurii Metropolitalnej
Archidiecezji Warmińskiej
Olsztyn, 4 stycznia 2016 r.
L.dz. 2/2016

Redakcja wydawnicza
Alicja Bartosik
Ks. Krzysztof Bielawny

Projekt okładki, łamanie
Bogdan Grochal

© Copyright by Jan Chłosta

ISBN 978-83-65210-18-0

Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne
ul. Wyszyńskiego 9
10-457 Olsztyn

Druk i oprawa:
Mazowieckie Centrum Poligrafii
ul. Słoneczna 3C
05-270 Marki

1. Wprowadzenie

Pisanie tych wspomnień odkładałem wiele razy. Różne obowiązki zmuszały mnie do zajęcia się innymi tematami. Jednak chęć opowiedzenia bez upiększeń o własnym życiu wciąż we mnie tkwiła. Chciałem w nich bez fryzowana pokazać moje dorosłe życie.

To przeświadczenie i raz po raz ponawiane zachęty znajomych do spisania tego, co przeżyłem, wciąż powracały, w jakimś momencie stawały się pewnego rodzaju duchową potrzebą. Moje życie ułożyło się trochę odmiennie od innych. Różne okoliczności wpłynęły na to, że po 1945 roku pozostałem na ziemi urodzenia. Ukończyłem studia i świadomie dałem się wciągnąć w polską kulturę. Dojrzewałem w trudnym, szczególnie tu na Warmii i Mazurach, czasie. Jako młody człowiek zetknąłem się ze środowiskiem ludzi związanych silnie z Kościołem katolickim, którzy obecni byli w różnych przestrzeniach życia publicznego, od kultury po gospodarkę. Wierzyli w to, byli przekonani o tym, że nauka społeczna Kościoła będzie miała znaczący wpływ na tworzenie wspólnoty Polaków po zakończeniu II wojny światowej na dawnych terenach Prus Wschodnich.

Młodość ma to do siebie, że żywi się marzeniami, a starość właśnie wspomnieniami. Ukończyłem pisanie tych kart w siedemdziesiątym siódmym roku życia. Wiele w nim się wydarzyło. Nie mnie oceniać; czy moje życie było aktywne. Czuję się do pewnego stopnia człowiekiem spełnionym. Mam za sobą pięćdziesiąt pięć lat pracy zawodowej, a w ostatnich latach dość aktywnie współpracowałem z Towarzystwem

Naukowym im. Wojciecha Kętrzyńskiego i Społecznym Komitetem Ratowania Dawnych Cmentarzy na Warmii i Mazurach, którego zresztą byłem współzałożycielem i od dwóch kadencji prezesem. Z tego powodu mam poczucie udziału w powojennym życiu publicznym na Warmii i Mazurach. Tym samym mogę napisać, że mam jakiś udział w powojennym życiu publicznym na ziemi mego urodzenia.

Nie były to lata spokojne ani sprzyjające ludziom z moim rodowodem.

Urodziłem się jeszcze przed wybuchem drugiej wojny w Olsztynie, na południowej Warmii. Pierwsze słowa, które wypowiedziałem wcale nie były polskie. Język polski nie mógł być mową moich pierwszych lat życia. Posługiwali się nim jednak moi przodkowie, wrośnięci od pokoleń w tę ziemię. Oni świadomie przechowywali zwyczaje warmińskie, które po latach opisywałem.

Trudno mi powiedzieć; czy opisane fragmenty mego życia zasługują na upowszechnienie, czy wnoszą one coś interesującego? Do napisania tych tekstów namówili mnie współpracownicy, którzy uznali, że brakuje wspomnień osób urodzonych w Olsztynie przed 1939 rokiem i mieszkających na Warmii dzisiaj. Większość osób z rodowodem podobnym do mojego w różnych okresach po roku 1945 opuściła swą ziemię rodzinną. Mieszkają dziś w Niemczech. Na pewno mieli łatwiejszy start w dorosłe życie. Mnie przyszło tutaj pokonywać różnego rodzaju bariery: językowe, ideowe czy wyznaniowe.

Znaczny wpływ na moje życie miały: ostatnia faza wojny i pierwsze lata po 1945 roku. Był to dla rodzimej ludności czas niedostatku i nieukrywanej często wrogości wobec Warmiaków i Mazurów. Najczęściej traktowano miejscowych tu tak, jakby to oni ponosili wyłącznie winę za wszelkie nieszczęścia, które spotkały Polaków z innych regionów.

Pragnąłem, aby te wspomnienia stały się opisem mego autentycznego wrastania w kulturę polską. Odbywało się ono z pomocą innych ludzi, szkoły i wciąż odkrywaniu złożonej historii tej ziemi. Pisałem je jako historyk, może bardziej obeznany z dziejami tej ziemi, z jej piśmiennictwem polskim i niemieckim od przeciętnych mieszkańców regionu, opisywałem je w książkach i artykułach naukowych, wreszcie w wielu publikacjach prasowych.

Próbowałem w ostatnim ćwierćwieczu być także depozytariuszem dziedzictwa tej ziemi. Nie będę ukrywał, że przysłużyłem się do uczczenia ważnych wydarzeń historycznych i związanych z nimi ludzi. Potwierdziłem to zresztą oraz potwierdzam nadal wieloma publikacjami i pracą na rzecz ratowania tego, co zostało po przodkach. Szkoda, że okres PRL trwał tak długo. Stosunek decydentów do przeszłości Warmii i Mazur doprowadził do pewnej zatury wielu ważnych pomników wspólnej przeszłości, m. in. zniszczenia pałaców, zamków, ewangelickich cmentarzy na Mazurach. Obowiązujące zapisy cenzury nie pozwoliły na zarejestrowanie w druku prawdziwych przeżyć mieszkańców tych ziem. Nie wszystko zapewne teraz uda się odtworzyć. Wraz z innymi dokładam starań, aby odnaleźć i upublicznić zapomniane lub tłumione zasoby pamięci. Są one pouczające i ważne w zrozumieniu przeszłości. Wspomnienia mogą być cennym źródłem wiedzy o kształtowaniu się olsztyńskiego środowiska humanistycznego. Przywołałem w tej książce ludzi często mało znanych, kilku z nich urodziło się jeszcze w XIX wieku, ale byli aktywni po powstaniu Polski Ludowej. Dawali świadectwo swojego polskiego rodowodu. Doczekali się wydania swoich wierszy i tekstów prozatorskich, w większości wspomnień. Miały one charakter, używając określenia profesora Stefana Kieniewicza, „publicystyki pamiętnikarskiej”. Były opisem udziału autorów o ważnych wydarzeniach historycznych na tych ziemiach i miały cel propagandowy, który służył kształtowaniu opinii publicznej. Dominował w tych memuarach nurt ściśle związany z działalnością organizacji polskich, rozwijających swoją pracę niekiedy obok niemieckiego, głównego nurtu życia społeczno-politycznego i gospodarczego na tych ziemiach.

2. Szemiel

Święta Bożego Narodzenia w 1944 roku nie mogły być radosne. Zbliżał się koniec wojny. Opa Józef Guski, czyli mój dziadek, jednak robił wszystko, aby podtrzymać przedświąteczny nastrój. Najpierw zamówił u wujka Juliusa choinkę, potem wciągnął mnie do przystrajania drzewka. Miały to być dla mnie pierwsze bardziej świadome święta. Nie przestałem wierzyć w świętego Mikołaja, czy jak się wtedy mówiło Nikolausa, ale dobrze zapamiętałem wydarzenia tamtego roku. Trzy dni po wigilii ukończyłem szósty rok życia. Także z tej okazji jeszcze jesienią ojciec zapowiedział swój przyjazd z frontu.

Właściwie ojca znałem tylko z fotografii. Był cały czas poza domem. Ciotka Augusta wciąż tylko powtarzała, że jestem bardzo do niego podobny. Potem nadszedł telegram, że mimo obietnicy przełożonych, nie otrzymał zgody na przyjazd do domu. Była to ostatnia wiadomość od ojca. Po przeczytaniu kartki mama z dziadkiem wymienili kilka zdań w niezrozumiałym dla mnie języku. Po latach okazało się, że mówili między sobą po polsku, abym nie zrozumiał tego, co wypowiadali o wojnie, i o tym, co miało wkrótce nastąpić.

Od jakiegoś czasu mieszkaliśmy u dziadka na skraju Starych Włók, przy szosie prowadzącej z Wartemborka, czyli Barczewa, do Jezioran. Ten domek zbudował wujek Julius, który jako najstarszy z pierwszego małżeństwa mojej babki Augusty przejął gospodarstwo na wybudowaniu, czyli kolonii, i matce oraz ojczymowi kupił pół hektara ziemi w samej wsi, gdzie postawił domek z murowaną obórką. Zamieszkaliśmy

tam chyba z mamą po śmierci babci. Moja mama, jako jedyna córka dziadka, stała się mu najbliższą osobą i spadkobierczynią domku, o który po zakończeniu wojny raczej nie chciała się upomnieć. Nie wiem, dlaczego nie podjęła starań, aby po wyjeździe do Niemiec córek ciotki Marty, Irmgardy i Renaty, podjąć starania o odzyskanie ojcowizny. Siostry Beuth sprzedały po prostu użyczoną przez mamę notarialnie zapisaną posiadłość. Zresztą one nikomu nie zwierzyły się ze swego zamiaru opuszczenia Polski.

W wigilię 1944 roku nie pojawili się, jak zapowiadał dziadek, kołędnicy. Jeszcze w połowie grudnia wszystkich nieco starszych chłopców ze wsi powołano do służby pomocniczej przy różnych formacjach Wehrmachtu, także nie można było nawet skompletować skromnej kompanii – miała powiedzieć w sklepie stara Willowa. Z ubiegłorocznych kołędników pozostali tylko kulawy Klomfas, co wcielał się w żebraczkę, i mały Jagiełko. Gdyby nie zabrali chorowitego Kuniberta Teschnera, co w ostatnich latach odtwarzał tańczącego szemla, to mogliby nawet w trzech chodzić, ale bez szemla – co to za słudzy ...

Pod choinką znalazły się tym razem bardziej praktyczne prezenty. Poza drewnianym samochodem, Mikołaj pozostawił wełniane swetry dziadkowi i mnie. Kiedy po kolacji dziadek przymierzał sweter, to mama mimochodem powiedziała, że wkrótce może mu się bardzo przyda! Nie rozumiałem, o czym mówili.

Kilkanaście dni po świątach dziadek koniecznie chciał mi zrekompensować nieobecność kołędników z szemlem i przywiózł mi z Wartemborka drewnianego konika na biegunach. Był biały jak szemiel z kompanii kołędników z poprzedniego roku, tylko na biegunach. Bardzo mi się podobał ten siwy konik. Był ostatnim podarkiem dziadka przed opuszczeniem Starych Włók.

Z wyjazdem to było tak. Kiedy już wyraźnie dochodziły odgłosy wystrzałów armatnich, naraz przed domem dziadka pojawił się drabiniasty wóz pokryty plandeką, zaprzężony w dwa konie. Przyjechał nim Francuz zatrudniony w gospodarstwie wujka Juliusa. Francuz pomógł załadować zapakowane w nocy walizki. Chciałem koniecznie zabrać na wóz konika na biegunach, ale dziadek powiedział, że za dwa dni powrócimy do domu, tak jak było w 1914 roku, jak z najbliższymi ukryli

się w lesie w stronę Kiersztanowa. Tym razem jednak się mylił. Mama podarowała jeszcze Francuzowi wełniany sweter, który zrobiła ojcu. Niech wam dobrze służy – powiedziała.

Tym wozem odbyliśmy pierwszy odcinek naszej ucieczki przed Rosjanami. Pamiętam, że zaczął padać drobny śnieg. Dziadek na siłę, przy wcale przyjaznych okrzykach innych woźniców, wcisnął się w kolumnę furmanek. W ciągu blisko czterech godzin ujechaliśmy zaledwie siedem kilometrów. W Jezioranach wozy konne skierowano na boczne drogi. W tej sytuacji mama zdecydowała, że pozostawimy konie z wozem i ona, jako żona żołnierza przebywającego na froncie, zwróci się do dowódcy kolumny samochodowej, aby dalszą ucieczkę odbyć w jednym z ciężarowych samochodów. Początkowo żołnierz chciał nas rozdzielić z dziadkiem, ale kiedy zacząłem płakać, machnął ręką i pozwolił dziadkowi zająć miejsce pod plandeką. Tak dojechaliśmy do Mehlsacku, teraz noszącego nazwę – Pieniężno. Tam umieszczono nas z innymi kobietami, starcami i dziećmi w szkole. W każdej z klas znajdowało się od 15 do 20 osób. Na korytarzu rozdawano grochówkę i czarną kawę z mlekiem. Ciepła kawa postawiła wszystkich na nogi.

Nasz pobyt w Pieniężnie trwał może pięć dni. Potem samochodami dojechaliśmy do Pilawy, dzisiejszego Bałtyjska, a stamtąd transportowym okrętem o nazwie „Adler” do Gdańska. W obawie przed nalotami rosyjskich samolotów – płynęliśmy nocą. Z dużej odległości na brzegu widać było łuny ognia, a w Gdańsku panowała grobowa cisza. Kilka godzin przed naszym przybyciem miał miejsce nalot. Gdzieniedzie dopalały się jeszcze domy. Większość rannych dołączono do odpływających na zachód okrętów. Dla nas nie było już miejsca. W Gdańsku mama natknęła się na rodzinę Willów, która furmanką przemierzyła zamrznięty Zalew Wiślany. Ich przejazdowi towarzyszyły naloty i ostrzeliwania z brzegu. Przeżyli prawdziwe piekło. Z kolumny wypadały uszkodzone wozy. Wielu tam straciło życie. Ludzie wołali o pomoc, której nikt nie mógł im udzielić. Willom udało się pokonać Zalew. Jechali blisko cztery godziny.

– Proszę sobie wyobrazić, sześć, siedem kilometrów w ciągu czterech godzin – powtarzała Willowa.

Spis treści

Wprowadzenie	5
Szemiel	9
Mój rodowód	17
Lata szkolne	29
W stronę Kościoła warmińskiego	49
Moja droga do Polski	65
Jak zostałem urzędnikiem	73
Najpierw było „Słowo na Warmii i Mazurach”	79
Od PAX-u do Civitas Christiana	107
Przechodzę do pracy w Warszawie	137
Mój Olsztyn	149
Moi najbliżsi i dalsi	161
Zamiast zakończenia	181